

ZA JAKĄ POLSKĘ

JOLANTA STOPKA

Byłam już dorosłą osobą, kiedy dowiedziałam się, że mój ojciec siedział w więzieniu za słuchanie Wolnej Europy. Oczywiście, że bardzo byłam tym zaskoczona. Tym bardziej, że ojciec nigdy nic o tym nie mówił, nie chwalił się tym ale też nie użalał nad sobą. Tak było i już.

Pewnie nigdy nie wróciłabym do tego tematu, gdyby nie ogłoszony przez Książnicę konkurs na wspomnienia. To mobilizuje.

-Słuchaj – zaproponowałam ojcu – może byśmy spisali twoje wspomnienia z pobytu w więzieniu?

-Ojciec nie zareagował. Popatrzył na mnie lekko zdziwiony.

-Nic nie będziesz musiał robić. -tłumaczyłam zawzięcie -Mam doskonały sprzęt! Kamerę, dyktafon cyfrowy, skaner. W pół godziny nagramy całą rozmowę a później ja ją przepiszę i już będzie po wszystkim.

Ojciec milczał i kiwał głową. Zdałam sobie sprawę, że coś chyba jednak przekombinowałam. Nie można mieć wspomnień na zawołanie. Jeszcze muszą poczekać.

Od czasu do czasu dyskretnie przypominałam ojcu, że już pora zasiąść do pracy. Niewiele to dało. Ojciec jest człowiekiem apodyktycznym i nic sobie nie robił z moich uwag. Przeszło pół roku oswajał się z myślą, że będzie robić z nim wywiad. W końcu nieoczekiwanie dał odpowiedź.

-Sam spiszę swoje przeżycia – oznajmił mi krótko.

OK. Mogło być przecież gorzej. Przygotowałam mu papier, długopis i położyłam wszystko na stole w jadalni, w miejscu gdzie zawsze czyta gazety. W szczególności swoją wymarzoną "Gazetę prawną". W końcu doczekałam się.

-Jako 15-letni młodzieniec w czerwcu 1945 roku wraz z matką i starszym o 9 lat bratem wyjechałem z grupą odważnych na Ziemię Odzyskane w poszukiwaniu lepszego życia -rozpoczął swoją historię. Ileż było w tych pierwszych zdaniach optymizmu, nadziei na lepszą przyszłość! Takim pamiętam go także ze zdjęć w albumie: mały chłopak z szeroko otwartymi oczami uczepony matczynej spódnicy. Ostatnie zdjęcie na progu rodzinnego domu zanim jeszcze babcia Ludwika wyruszyła na tzw. Zachód. Babcia była małorolną wdową z dwójką dzieci.

W wyjeździe – pisał ojciec -widziała możliwość poprawy sytuacji materialnej, tym bardziej że władza wyraźnie zachęcała do migracji. Żyliśmy bardzo skromnie, na granicy ubóstwa, mama pracowała dorywczo u zamożniejszych gospodarzy.

Wyjazd na Zachód miał to wszystko zmienić.

-Zabraliśmy odzież, kilka chlebów upieczonych w wiejskim piecu, kilkanaście ugotowanych jaj na twardo i w drogę. Nie przypuszczaliśmy, że podróż będzie trwała tak długo. Wyjechaliśmy z miejscowości Żywiec – dawniej województwo krakowskie, pociągiem towarowym tzw. bydłakami. Podróż była makabryczna. Postoje na trasie w szczerym polu niejednokrotnie trwały kilkanaście godzin, bo tory były zajęte przez wojska radzieckie. Ponieważ zapasy żywności były na ukończeniu, na każdym postoju próbowano gotować ziemniaki, które oczywiście zdobywano wyrwijając je z pola. Gotowanie odbywało się na przygotowanym naprędce ognisku. Nierzadko w pół surowe ziemniaki trzeba było wyrzucić, gdyż maszynista dawał już znak do odjazdu.

Na trasie widzieliśmy spalone wagony, zniszczone domy oraz rozkładające się szczątki zwierząt, a może i ludzi. W taki to sposób przez Tarnowskie Góry, Kędzierzyn dojechaliśmy po przeszło miesiącu do miejscowości Nysa w Opolskiem. Miasto było bardzo zniszczone działaniami frontowymi. Na ulicach były jeszcze trupy, a dopalające się budynki nie były wyjątkiem. Zakwaterowano nas w byłych koszarach wojskowych. Panował tu totalny bałagan. Na podłodze pełno było szmat i podartych materacy. Tu mieszkaliśmy 2 dni. Praktycznie miasto było puste, sklepy pozamykane. Po dwóch dniach poinformowano nas, że będziemy wyjeżdżać na upragnione gospodarstwa, mówiono wprost „na swoje”. Bezpieczeństwa i porządku w czasie podróży pilnowali mężczyźni z biało-czerwonymi opaskami. Było też kilku wojskowych lub milicjantów z bronią. W wyznaczonym dniu podjechały konie. Furmankami powozili miejscowi. Podstawiono też kilka wojskowych samochodów. Miejscem docelowym była Kamienica koło Paczkowa. Rodziny, które załadowano do furmanek rzeczywiście pojechały do Kamienicy, gdyż woźnicami byli mieszkańcy Kamienicy i znali drogę. Pozostali, do których i my należeliśmy, trafili do Kamieńca Ząbkowickiego na Dolnym Śląsku, bo kierowcy pomylili drogę. W taki to sposób część osób z jednego transportu trafiła do Kamienicy w województwie opolskim, część do Kamieńca Ząbkowickiego w województwie wrocławskim.

Zostaliśmy zakwaterowani w budynku Urzędu Gminy. Poinformowano nas że przyjadą po nas niemieccy rolnicy i zabiorą na upragnione gospodarstwa. Jakież było nasze zdziwienie gdy okazało się że to nie my, ale niemieccy gospodarze zaczęli między nami przebierać. Wybierali tych, którzy im odpowiadali. Mieliśmy wrażenie, że jest to dobór ludzi do pracy. Wyraźny sprzeciw i protesty doprowadziły do zaniechania takiej selekcji.

W gospodarstwie do którego nas zabrali mieszkali jeszcze Niemcy. Dom był piętrowy, murowany. Osobno stajnie, stodoły. Niemcy już siedzieli na walizkach. Przekazywanie kluczy Polakom (czyli nam) odbywało się przy udziale ludzi z UB. Przynajmniej za takich się podawali. Przed wyjazdem Niemców ich rzeczy zostały zamknięte w jednym pokoju i opieczętowane. Klucz zabrał „mundurowy”. To miało być gwarancją, że nic nie zginie. Gdy Niemcy wyjechali w nocy przyszli „nasi mundurowi” i wszystko wynieśli. Niemiecka rodzina, z którą przyszło nam mieszkać przez kilka miesięcy była bardzo wystraszona. I posłuszna też. Gdy postanowiliśmy zabić świnie Niemiec nie chciał mieć nic z tym wspólnego.

-Nein, nein – krzyczał wystraszony, gdy Staszek przyszedł do niego z siekierą na ramieniu.

-Kom – zachęcał go brat – Idziemy świnię bić!

Niemiec nie dał się namówić na świniobicie. Porcję swojej świni wziął ale ukrył ją głęboko w stodole. Byłem zdumiony widząc jego strach.

Już się wydawało, że będziemy mogli tu gospodarzyć, gdy nieoczekiwanie władza ludowa dokwaterowała nam polską rodzinę. W praktyce oznaczało to koniec snów o samodzielnym gospodarstwie. Na jednym podwórku zostało dwóch rolników. Mama nie była w stanie obronić naszej gospodarki. Dom został więc podzielony, tak samo stodoły, obory i podwórko. Nigdy nie było między naszymi rodzinami zgody. Ani oni nie byli gospodarzami ani my. Ani oni nie chcieli zrezygnować z gospodarki ani my. Nikt się niczego nie dorobił. Mój starszy brat Staszek przejął gospodarstwo i dodatkowo pracował na żwirowni. Był typowym chłoporobotnikiem.

W Kamieńcu ukończyłem szkołę podstawową. Była to jedna z pierwszych szkół jakie powstały na Dolnym Śląsku. Kierownikiem szkoły był wówczas pan Henryk Szczygłowski. Po ukończeniu szkoły zdałem egzamin do Państwowego Koedukacyjnego Gimnazjum Handlowego w Paczkowie, które ukończyłem w 1950 roku. Uzyskując kwalifikacje zawodowe pierwszego stopnia, miałem tzw. „małą maturę”.

Później miało być już tylko z górki, a jednak coś się zacięło. Ojciec zaczął pisać i kreślić swój pamiętnik.

-Ojciec boi się tych wspomnień – uświadomiła mnie matka. - Tak skutecznie go wówczas przestraszyli, że do dzisiaj dusi je w sobie.

Rodzice poznali się już po wyjściu ojca z więzienia. Szary na twarzy, wystraszony – takim zapamiętała go moja mama. Stopniowo dochodził do siebie. Ale ostrożny i mało mówny został do dziś. Byle tylko nie rzucać się w oczy, nie wyróżniać z tłumu. To są właśnie te przetrącone życiorysy i strach. Spadek po minionej epoce.

Sama muszę więc dopisać rozdział, którego ojciec unika. Miał 22 lata. „Małą maturę” w kieszeni. Był dobrym, ambitnym uczniem. Było oczywiste, że nie zostanie na gospodarce, tylko „pójdzie do szkół”. Zrobi karierę. Należał do ZMP. Był towarzyski, zabawowy i nie stronił od alkoholu jak większość młodych chłopaków. Zbyszek i Tolek to byli jego najlepsi koledzy. O tym, że Zbyszek pracował na UB wszyscy wiedzieli. On sam się tym chwalił. Ale jak to się mówiło „Był to swój chłop”. Zabierał kumpli do lasu, pozwalał strzelać ze swojego służbowego pistoletu. Jak się później rozliczał z amunicji nie wiadomo. Popisywał się swoją siłą i wpływami. Prowokator? Donosiciel? Któż to dzisiaj ustali. Ojciec mój złego słowa o nim nigdy nie powiedział. O Tolku też miał dobre zdanie. Razem pili wódkę, chodzili na tańce. Razem też słuchali Wolnej Europy. Ojciec nie miał żadnych podejrzeń. Żadnych przeczuć. Bywał u nich w domu. Znał matkę, brata.

Było to w kilka dni po śmierci Stalina. Tolek razem z moim ojcem słuchał Wolnej Europy, bo mimo zagłuszeń dało się słuchać tych audycji. Młodzież słuchała, komentowała a Nowak Jeziorański nadawał z Monachium. Anders miał przyjechać na białym koniu. Coś się działo.

-Aresztowanie nastąpiło w dniu 16.03.1953 roku wieczorem o godzinie 23 -wspomina dalej mój ojciec. -Dwóch funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa z Ząbkowic Śląskich przy udziale komendanta MO przeskoczyło ogrodzenie podwórza i gwałtownie zapukali do naszych drzwi.

-„ Gdzie macie broń?” -krzyknęli do mnie

Okazali zezwolenie prokuratury na przeprowadzenie rewizji, i zaczęli przeszukiwanie. Rewizja była szczegółowa, nawet łóżko mojej mamy zostało dokładnie spenetrowane. Ponieważ nie znaleziono żadnej broni, naiwny miałem nadzieję, że na tym się skończy. Jakież było moje zdziwienie kiedy usłyszałem

-„Ubierajcie się jesteście aresztowani”

Zostałem zawieziony do Urzędu Bezpieczeństwa w Ząbkowicach. Po zdjęciu sznurowadeł od butów zostałem wtrącony do piwnicy. Przebywało tam dwóch innych mężczyzn. Mama nie wiedziała gdzie mnie zabrali. Milicja nie chciała jej nic powiedzieć. Jakaż to była tragedia dla mojej biednej i chorej matki, która nic nie mogła zrobić. Po długich staraniach u adwokata uzyskała informację, że jestem na UB. Próbowała mi jakoś pomóc, jednak żaden adwokat nie chciał podjąć się mojej obrony.

-Szkoda pani pieniędzy – mówili jej. -Musi odsiedzieć swoje, żaden obrońca mu nie pomoże.

Te informacje tylko pogłębiły jej rozpacz. To wtedy, biegnąc od jednego urzędu do drugiego, została potrącona przez samochód. Myślami była ze swoim synem.

Okres przesłuchania na UB był okropny. Żadnej możliwości obrony. Po prostu byłem winny. i już. Ja szedłem na pierwsze przesłuchanie wpiąłem sobie znaczek ZMP w klapę marynarki, myśląc naiwnie że to mnie obroni. A to jeszcze bardziej rozwścieczyło ubeka.

-Kpiny sobie ze mnie robicie – wrzeszczał –Władza Ludowa wam zaufała a wy co!

Dobrze , że nie kazali mi zjeść tego znaczka... Któregoś dnia patrzę, a tu pod celą jest Zbyszek.

-Zbyszek – wołam – Zbyszek, daj chociaż zapalić. Przecież my się znamy...

-Ale on obrócił się na pięcie mówiąc – Pan mnie z kimś myli – I tyle go widziałem.

W piwnicy, w której przebywałem nie było okien jedynie marne światło żarówki oświetlało wnętrze przez 6-8 godzin na dobę. Nie wiedziałem kiedy jest noc a kiedy dzień. W pomieszczeniu nie było toalety a potrzeby załatwialiśmy do 200 litrowej metalowej beczki, która opróżnialiśmy zawsze w niedzielę, gdy było mało pracowników i funkcjonariuszy. A to z powodu jak mi powiedziano „Aby nie musieli wąchać waszych smrodów”.

Wodę otrzymywaliśmy do jednej miednicy, raz dziennie. Miała wystarczyć do mycia naczyń oraz do higieny osobistej. W jednej wodzie myliśmy się na zmianę. Ten który dzisiaj mył się pierwszy, na drugi dzień był ostatni. W ten sposób co trzeci dzień każdy mógł się obmyć w czystej wodzie.

Dla zabicia czasu graliśmy w szachy. Figurki zrobiłem z chleba i trzymałem schowane głęboko pod pryczą. Gdy kilka lat później szukając pracy przyszedłem do tego samego budynku, po UB nie było już śladu. Była tam siedziba Narodowego Banku Polskiego. Urzędujący dyrektor zszedł ze mną do piwnicy, tłumacząc że będzie tu robić gruntowny remont. Był zdziwiony.

-Niemożliwe – tłumaczył grzecznie -by była tu kiedyś siedziba UB.

-Ja tu siedziałem – powiedziałem mu wówczas. Sięgnąłem ręką pod prycz i namacałem moje szachy. Przetrzywały. Dyrektor po raz drugi zrobił zdziwioną minę. Do pracy mnie jednak nie przyjął.

Po dwóch miesiącach przesłuchań zostałem odwieziony do więzienia w Kłodzku. Było tu lepiej niż na UB. Warunki higieniczne nawet znośne. Raz w tygodniu obowiązkowa kąpiel pod prysznicem, spacer. W pomieszczeniu „pod celą” w którym przebywałem o powierzchni 2,5x4 metry były 3 osoby. Mieliśmy jedno łóżko metalowe. Na dzień było obowiązkowo zamykane do ściany. Siedzieliśmy na ziemi. Na łóżku spały 3 osoby, dwie po bokach głowami w jednym kierunku, a w środku trzecia, głową odwrotnie.

W więzieniu żadnego przesłuchania już nie było. Czekaliśmy na wyjazd na rozprawę. Rozprawa odbyła się we Wrocławiu. Zostaliśmy odwiezieni w konwoju przez MO, zakuci w kajdany w ilości 10 osób. Na dworcu kolejowym po wyjściu z wagonu ludzie rzucali nam papierosy i żywność. Papierosy można było podnosić, ale żywności nie.

Zostałem doprowadzony z pozostałą grupą więźniów do sądu. Rozprawa odbyła się w Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym – delegatura we Wrocławiu. Sama rozprawa trwała krótko. Po odczytaniu oskarżenia padły sakramentalne słowa

-Co macie do powiedzenia w ostatnim słowie? -zapytał sędzia

Nie zapytano mnie nawet czy przyznaję się do winy. Zaskoczony i zestresowany nie wiedziałem co mam powiedzieć. Usłyszałem wyszeptane słowa milicjanta, który mnie pilnował. „Proś o łagodny wymiar kary”. Posłuchałem go i tak powiedziałem. Tak wyglądała cała rozprawa sądowa. Wyprowadzono mnie na korytarz. Po krótkiej przerwie powrót na salę rozpraw. Odczytanie wyroku. Usłyszałem. „12 miesięcy obozu pracy, z zaliczeniem okresu dotychczasowego pobytu w czasie śledztwa”

Powrót z rozprawy do więzienia odbył się bez problemów. Otrzymane na dworcu papierosy zostały w czasie kontroli w więzieniu starannie połamane. Sprawdzano czy nie zostały w nich ukryte niebezpieczne przedmioty.

Wyjazd do zasądzanego obozu pracy odbył się samochodem ciężarowym bez przykrycia w obowiązkowej pozycji siedzącej, ciasno jeden obok drugiego. Oczywiście zakuci byliśmy w kajdanki. Dojechaliśmy do obozu w Wojcieszowie, dawniej województwo wrocławskie, gdzie znajdował się słynne kamieniołomy kamienia wapiennego i piece wapienne. Zostaliśmy zakwaterowani w barakach po 60 osób w każdym. Obóz ogrodzony był drutami kolczastymi i podwójną siatką. Chyba pod napięciem. Zostałem przydzielony do brygady układającej kamień wapienny w piecu. Po wypaleniu kamień był ładowany na wózki, a później do wagonów.

Obowiązywała dzienna norma, którą należało bezwzględnie wykonać. Norma to 15 ton. Załadunek i wyładunek z pieca i tak na okrągło. Niewykonanie obowiązującej normy było karane. Przewidziana kara to zmniejszenie racji żywnościowej, wstrzymanie korespondencji, uniemożliwienie widzenia z rodziną, które odbywały się raz w miesiącu. W stosunku do uporczywie odmawiających wykonania normy – stosowano tzw. twarde łóżce. np. trzy noce obowiązkowego spania w karcerze na deskach bez pościeli. Po takiej nocy długo się pamiętało karę.

Poza tym więźniowie, którzy nie wykonywali normy byli ogłaszani na porannym apelu, który był obowiązkowy, a ich nazwiska widniały na specjalnej tablicy ogłoszeń w świetlicy więziennej.

Do obozu przyjechała do mnie mama. Ledwie mnie poznała. Ja ją zresztą też. Przygarbiona, chuda i zropaczona. A miała dopiero 54 lata. Widzenie odbywało się w obecności strażników.

-O tym nie wolno rozmawiać – wołali co chwila podsłuchując nasza rozmowę. Ledwie co słyszałem matkę.

-Mamo – wołałem do niej (bo oddalona była ode mnie jakieś 10 metrów) – jak będziesz drugi raz to przywieź mi pulower

-A po co ci dziecko rower – pytała zdumiona. I tyle żeśmy sobie pogadali.

Więźniowie, którzy przekraczali normę powyżej 115 procent byli nagradzani np. dłuższymi odwiedzinami rodziny oraz zaliczano im pobyt jednego miesiąca pracy za dwa. Na wniosek komendanta obozu sąd mógł dać zwolnienie warunkowe. Oczywiście trzeba było mieć tzw. „wzorowe zachowanie w obozie”.

Do pracy byliśmy codziennie doprowadzani przez straż więzienną. Na placu przed bramą obowiązkowe wyczytywanie numeru więźnia – bez nazwiska. Uprzedzano, że w razie próby ucieczki lub próby wyjścia z szeregu będzie użyta broń bez ostrzeżenia.

-Zrozumiano?

-Tak jest -należało odpowiedzieć.

-Na terenie obozu był sklep kantyna, w którym można było dokonując zakupów, ale tylko za 50 procent uzyskanego wynagrodzenia. Pozostałe 50 proc. stanowił fundusz „B” przeznaczony na powrót do domu. Wynagrodzenie więźnia było bardzo skromne, ponieważ kamieniołomy nie należały do górnictwa, lecz do przemysłu lekkiego, więc wynagrodzenie więźniów wynosiło zaledwie 25 procent stawki obowiązującej za taką pracę dla cywila. Ponieważ korzyści z wykonywania normy lub jej przekraczania były wymierne, to opłacało się ją wykonywać. Dzięki wykonywaniu normy zostałem zwolniony do domu 3 miesiące wcześniej. Wyszedłem na Święta Bożego Narodzenia w 1953 roku po 9 miesiącach więzienia. Jakaż to była radość.

-Ślady pobytu w więzieniu jednak pozostały. Wpadłem w głęboka depresję, nerwicę, brak snu. Zawroty głowy, nadciśnienie. Któregoś dnia na ulicy w kamieńcu spotkałem Zbyszka.

-Franiu, Franiu – krzyczał z radości na mój widok, wyciągnął rękę chcąc się przywitać

-Pan mnie z kim myli. Ja pana nie znam – odpowiedziałem. Starłem się zachować obojętnie, ale w środku aż się we mnie gotowało.

Tolo zniknął z miasta. Nikt go już więcej nie widział. Ponoć zrobił poważną karierę urzędniczą.

Próbowałem rozpocząć nowe życie, ale było bardzo trudno. Odmówiono mi powrotu do pracy w Narodowym Banku, a pracy w innych przedsiębiorstwach w innym zawodzie również nie mogłem dostać. Mimo że zasądzona karę odbyłem, zakłady pracy bały się mnie. Byłem przecież więźniem politycznym. Musiałem obowiązkowo co miesiąc zgłaszać się na Urzędzie Bezpieczeństwa. W czasie kolejnego zgłoszenia zaproponowano mi pracę w Powiatowym Zakładzie Mleczarskim w Ząbkowicach. Tam też zgłosiłem się i zostałem przyjęty. Jak się okazało zakład ten był pod nadzorem UB. Pracowało tam już 3 byłych więźniów z wysokimi wyrokami, zwolnionymi warunkowo jak ja. Personalny w tym zakładzie był funkcjonariuszem UB. Mieli więc nas wszystkich na oku.

W zakładzie mleczarskim pracowałem do 1958 roku. Założyłem rodzinę –ożeniłem się i wyjechałem do Kamiennej Góry, też do pracy w przemyśle mleczarskim, a później do Siedlęcina gdzie dostałem pracę w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej. W mleczarstwie przepracowałem ponad 50 lat.

W Wojcieszowie nie ma dziś śladu po dawnym obozie pracy. Ojciec z trudem rozpoznał miejsce, gdzie stały baraki, gdzie odbywały się apele. Nie ma ludzi – nie ma problemu – jak mawiał Stalin.

Ja późno dowiedziałam się o jego przeszłości. Szczegóły jego życiorysu poznałam niedawno. I okazuje się, że nie jestem wyjątkiem. W polskich domach po prostu się o tym nie mówiło. Ze strachu, by dzieciom nie stała się krzywda.

-By was chronić – jak później mi tłumaczono.

W 1994 roku po 45 latach Radio Wolna Europa przestało nadawać. Przeszło do historii tak samo jak jej legendarny dyrektor Jan Nowak Jeziorański. RWE założone i finansowane przez Amerykanów nie było wcale uznawane przez polski rząd w Londynie, bo USA jako sygnatariusz pojałtańskiego podziału Polski nie mogło być przecież naszym sojusznikiem. Nasz Prezydent emigracyjny August Zaleski (prezydent w latach 1947 – 1972) nie miał więc wstępu do tego radia I wcale o to nie zabiegał. Za jaka więc Polskę siedział mój ojciec i jemu podobni?

Gdy kilka lat temu IPN otworzył archiwa I można było zajrzeć do własnej teczki – mój 85 letni ojciec skapitulował.

-Nie – odparł – już nie chcę tego wiedzieć.

-A ja się z tobą nie zgodzę – odparłam mu

Wspomnienia Franciszka Stopki – spisała jego córka Jolanta Małgorzata Stopka